

Prom w Myśliborach tylko dla złodziei, z Warszawy do Ostrowi bezpośrednio koleją,
Kurpie chodzą spać dosłownie z kurami, biskupi łapią za kosy,
pani doktor z Sadownego ani doktorem, ani panią

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie: Jacob Marris, *Prom*, olej na płótnie 1870 r.
Źródło: *Jacob Maris, Public domain, via Wikimedia Commons.*

W powiecie ostrowskim powstają nowe, wspaniałe drogi, ale na przeprawie na Bugu w Myśliborach możesz człowieku stać godzinami i krzyczeć – Promu? – Szkoda twego gardła, nikt cię nie usłyszy, bo po cóż przewoźnicy mają się trudzić za grosze, skoro przyjdzie złodziej panisko i zapłaci za kilku takich jak ty niedorajdów.

Wspaniałe wieści dla mieszkańców Ostrowi i okolicy. Łączy już ich ze stolicą droga szybkiego ruchu, a teraz zyskują połączenie za pośrednictwem kolei dość dużych prędkości. Zostaną mieszkańcami przedmieść europejskiej metropolii.

Kurpie, podobnie jak prawie wszyscy włościanie mają awersję do świeżego powietrza. Światła też nie lubią, ale to głównie z oszczędności.

Pośród najwyższych kościelnych hierarchów zapanowała moda na bratanie się z ludem, a lud jak to lud, nowinki z niechęcią przyjmuje i wszędzie węszy podstęp.

Wiadomo, jak trudno sprowadzić na prowincję lekarza. Włodarze gminy Sadowne poczuli się zatem niczym w siódmym niebie, gdy praktykę w osadzie otworzyła pani doktor Maria Dobek. Tyle że legitymowała się skradzionym dyplomem, a tak naprawdę to była panem.

Mamy styczeń, a pośród składanych na nowy rok obietnic, była i ta o udzieleniu odpowiedzi na zaległą korespondencję.

Pan Henryk pyta, czy można kierować do redakcji listy analogowe, bo w tych cyfrowych wodotryskach, to on nie gustuje. Otóż jest z tym kłopot panie Henryku. Obecni listonosze, to nie ci sprzed kilku dziesiątek lat. Do dzisiaj pamiętamy śp. pana Samsla z Broku, który czy skwar, czy śnieg, czy ślota jeździł po miasteczku rowerem marki Ukraina i dostarczał wszystkie przesyłki w terminie. Teraz już takich superpocztowców nie ma. Redakcja urzęduje obecnie w osadzie, gdzie jest wprawdzie urząd, ale co chwila zmieniają się godziny jego pracy, a to w piątki 15.35-18.20, a to wtorki 8.15-10.40 itp. Nie jesteśmy w stanie się w tym połapać. Jak już przypadkowo natrafimy na urząd otwarty, to trudno precyzyjnie się do okienka pomiędzy regałami zawałonymi nikomu niepotrzebnymi towarami. Prawie dokładnie takimi, jak w sklepach z napisem „Wszystko po 3 zł”, albo w kramie z dewocjonaliami na odpuszczenie, tyle że tutaj kosztują kilka razy więcej. Czasami redakcja się skusi i nabędzie np. etui do okularów... trochę tak z życzliwości, bo żal nam pań w okienkach, u których nikt niczego nie kupuje. Potem redakcja ma burę w domu, bo przecież etui dodają za darmo u okulisty do każdej pary okularów i typowy okularnik ma ich w domu sztuk kilkanaście. Na nic tłumaczenia, że skoro dyrekcja tej szacownej instytucji zarzuciła milionami etui kraj cały, to widocznie jej specjaliści od marketingu widzieli w tym jakąś logikę i lepiej wiedzą co robią od żony redakcji. Ponieważ do otrzymywania przesyłek w terminie jakoś szczęścia redakcja nie miała, to ostatecznie postanowiła skorzystać z nowinki, którą ta instytucja podpatrzyła u konkurencji, a ta nowość

to paczkomaty. Po dwóch tygodniach bezowocnego oczekiwania na paczkę poprosiliśmy nadawcę o dokonanie reklamacji. Po kilku dniach miła pani zatelefonowała z urzędu, z którego rozsyłają przesyłki po paczkomatach i zaproponowała, abyśmy pofatygowali się do ich siedziby, tyle że ta rozdzielnia znajduje się 10 km od granic redakcyjnej wioski. Na propozycję, aby przesłali przesyłkę do tutejszego urzędu, usłyszeliśmy odpowiedź, że owszem jest taka możliwość, ale jest to operacja logistyczna tak skomplikowana, że nie są w stanie określić, ile potrwa.

Z rzadka otrzymujemy listy analogowe i jest to wydarzenie pamiętne. Nadany w listopadzie list potrzebował 9 dni na pokonanie 100 km. Klika dni przed wigilią znajoma, czująca sentyment do przesyłania życzeń drogą tradycyjną, wysłała nam właśnie tą drogą życzenia, oczekując w swej naiwności, że kilka dni wystarczy małej kartce na pokonanie 144 km. Oczywiście, myliła się... kartka nadeszła 4 stycznia.

Rzecz jasna trudno mieć do tej instytucji pretensję za opieszałość w doręczaniu przesyłek – tak było zawsze. W roku 1558 Zygmunt August polecił zorganizować regularne połączenie pocztowe pomiędzy Krakowem i Wenecją. Według instrukcji wydanej w 1562 r. przez pocztmistrza Krzysztofa Taksisa, czas przesłania poczty między wymienionymi miastami miał wynosić aż 10 dni¹, czyli każdego dnia kurierzy mieli do pokonania niewiele ponad 90 km. W jednym z naszych przeglądów prasy, opublikowaliśmy list, jaki do jednej z gazet skierował na przełomie XIX i XX w. wzburzony mieszkaniec Ostrowi. Ten niewątpliwy choleryk skarżył się, że otrzymuje przesyłki dopiero po trzech dniach od momentu ich nadania w Warszawie.

Jakby tego było mało, to redakcja zauważyła, że tak rzadki w tych czasach list papierowy, a szczególnie ten polecony jest u odbiorcy sprawcą reakcji identycznych z tymi, jakie niegdyś wywoływał telegram. Młodszym czytelnikom należy się wyjaśnienie, że tylko wyjątkowo informowano telegraficznie o czymś radosnym, miłym i przyjemnym, a był to prawie zawsze zwiastun nieszczęścia. Informacja o liście poleconym wywołuje zatem u przeciętnego odbiorcy zimne poty, drżenie rąk – ogólnie stan bliski omdlenia. Nawet najuczciwszy człowiek stara się wykręcić od podpisania świstka, tłumacząc, że ktoś taki tutaj nie mieszka, że może i mieszkał, ale dawno temu i w dodatku nie żyje, a jakby tego było mało, to nie leży na miejscowym cmentarzu, gdyż zgodnie z jego życzeniem, zwłoki spopielono, a prochy wysypano do morza.

Nadszedł czas na emalię pani Marii. Otóż czytelniczka pyta, jaki jest redakcyjny światopogląd, gdyż z lektury publikowanych artykułów i opracowań nie sposób tego dociec. Pani Maria dodaje, że jedna z jej znajomych twierdzi, iż widziała redakcję w towarzystwie osoby z prawej strony sceny, inny zaś znajomy zarzeka się, że dostrzegł redakcję rozmawiającą z kimś ze strony lewej. Pani Mario, zapewniamy, że w naszym prowincjonalnym światku, wszelkie plotki pojawiają się zniecka i urastają do fantastycznych rozmiarów, sama zaś redakcja nie ma żadnego światopoglądu. Redakcja ma wzrok kiepski i nosi okulary, a jako że w wieku jest zaawansowanym, to wciąż je gubi, a bez nich nijak nie można wyrobić sobie światopoglądu. Jak już redakcja okulary znajdzie, to wie, że za chwilę ponownie je zapodzieje, więc ma do załatwienia masę spraw ciekawszych i istotniejszych, od wyrobienia wzmiankowanego pojęcia.

¹ Karol Łopatecki, *Jednostki odległości i szybkość podróżowania w drugiej połowie XVI stulecia w świetle traktatu Blaisea de Vigenere*, „Przegląd Historyczny” 2021, T. 112, z. 3, s. 537.



Listonosz i pocztalion Królestwa Polskiego w drugiej połowie XIX w.,
rycina z wydanej w roku 1901 rosyjskiej książki *Poczta i telegraf w XIX stuleciu*.
Źródło: portal *grafika.ru*.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 12 (168) z 23 marca 1884 r.]

Z OKOLIC CZYŻEWA I RZEKI BUGA

Treść: Skutek dawniejszego listu w Gazecie Świątecznej. – Szosa z Czyżewa do Ciechanowca. – Kościół w Bogutach. – Droga do Buga i przewozy pod Nurem i pod Myśliborami.

Ostatni raz pisałem w maju. Po tym liście jedni drugich dopytywali się, kto to mógł pisać i przyznawano, że miałem w niej słuszną rację. Takie interesowanie się jest bardzo dobre, ponieważ świadczy, iż czytelnicy Gazety Świątecznej dbają o swoją okolicę i rachują się z tym, co ludzie mówią i piszą o ich postępowaniu. To też od owego czasu wszystko choć trochę poszło ku lepszemu. Życie rodzinne, zgoda domowa poprawiły się, choć jeszcze dużo pozostaje do życzenia.

Pomyślano też i o tem, co potrzebne dla dobra ogólnego, będziemy bowiem mieli w naszych stronach szosę, łączącą miasteczko Czyżew z Ciechanowcem. Już narady były, już rzecz zatwierdzona i postanowiona. Szosa będzie przechodziła starym traktem przez wsie Drewnowo i Boguty. Trakt ten poprzednio był nieznośny, z powodu błota, wybojów i dziur w mostach. Trochę ożywią się Boguty, ponieważ będą środkowym przystankiem na szosie pomiędzy Czyżewem i Ciechanowcem.

We wsi Bogutach stoi obecnie kościółek. Dawniej tu nie było kościoła, a okolica należała do parafii Nurskiej. Trudno też było mieszkańcom z okolic Bogut jeździć w niedzielę i święta tak daleko. Postanowili przeto oni ze szczupłych swych składek zbudować kościółek. Niedługo się nim cieszyli, gdyż po kilkunastu latach ku wielkiemu zmartwieniu parafian spalił się drewniany

kościółek. Nie opuszczono jednak rąk, po raz drugi zebrano składki i zbudowano nowy kościół, który do obecnej chwili stoi. Ładny to kościółek, choć niezamożny i szczupły. Dla swych parafian byłby dosyć duży, ale i z innych parafii gromadzą się tu pobożni. Już od lat kilku parafianie wzdychają do tego, żeby przy ich kościółku był stały proboszcz. Obecny proboszcz zarządza swą majątnością – folwarkiem Białe, dosyć oddalonym od parafii. Bawią w Bogutach od czasu do czasu jego zastępcy, ale ci zmieniają się często i przez to bywają różne nieporozumienia.

Ze wsi Bogut prowadzi droga do rzeki Bugu przez wsie Tymianki i Kramkowo. Cóż to za droga! Pełno tu kamieni, rowów i dołów; jeżdżą po niej często, ale nikt nie pomyśli, żeby ją naprawić. Żeby choć wieś każda poprawiła drogę przez jej pola przechodzącą, żeby choć jedno drzewko przy niej posadziła, ale gdzie tam! Nikt o to się nie troszczy, choćby jemu z tem było dobrze. W okolicy tej na rzece Bugu są dwa przewozy: jeden w Nurze, drugi między wsiami Kiełpińcem a Myślaborami. W Nurze przewóz jest, jak być powinien: o każdej porze przewożą cię; ale za to w Myślaborach możesz nieraz stać nad Bugiem kilka godzin i nikt ani wyjrzy, ani zatroszczy się o człowieka, krzyczącego wniebogłosy „promu!”. Zdarza się bardzo często, że doktor, jadący do chorego, po kilkugodzinnem nawoływaniu musi się wracać na powrót. Nawet taryfy tu nie masz: stoi wprawdzie nad Bugiem słup, jakby straszycło na wrony, świadczący, że kiedyś dawniej był tu ład i porządek. Przewóz jest własnością dwóch Żydów, żyjących między sobą w niezgodzie. Obaj właściciele mieszkają w Myślaborach. Jeżeli się jedzie ze strony Kiełpińca, a właściciel zobaczy, że to ubogi jaki człowiek, wówczas zupełnie nie podaje promu, ale gdy złodziej zmyka ze swą kradzieżą za Bug, to bez namysłu go przewożą, ponieważ spodziewają się przynajmniej poczwórnej opłaty. Pytamy się teraz, co to za ład? Albo niech przewóz będzie, jak być powinien, albo znieść go zupełnie i ogłosić to publicznie, by mieszkańcy okolic tutejszych nie łudzili się próżną nadzieją przejazdu na drugą stronę. Prosimy przeto tych, do kogo to należy, żeby zaprowadzili ład potrzebny.

Drop z Czyżewa.



Przełom XIX i XX w. Szczyt starego domu w Czyżewie. Rysował z natury Adolf Szyszko-Bohusz².

² Zygmunt Gloger, *Budownictwo drzewne w dawnej Polsce*, Warszawa 1907, t. 1, s. 235.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 33 z 26 kwietnia 1899 r.]

Kolej warszawsko-łomżyńska. Pp. Korolec, Londyński i Smiarowski podjęli starania około budowy kolei wąskotorowej z Łomży do osady Śniadowa, odległej o 14 wiorst. Kierunek z Łomży do Warszawy wiedzie na Śniadów (wiorst 14), Ostrów (25 w.), Wyszaków (28 w.), Radzymin (20 w.), do Radzymina zaś z Warszawy jest około 20 w., razem przeto odległość w najkrótszym kierunku z Łomży do Warszawy wynosi wiorst około 98, budując kolejkę nie wzdłuż traktów szosowych, lecz prostując linię jak np. między Radzyminem i Wyszakowem, oraz między Ostrowiem i Śniadowem. Obecnie zaś droga do Łomży koleją na Małkinię i Czerwony Bór wynosi około 150 w. i nie dojeżdża do samego miasta, lecz stacji kolei nadnarwiańskiej Czerwonego Boru; przesiadać się należy po drodze z Małkini. Otóż kolejka pp. Korolca, Londyńskiego i Smiarowskiego jest zapoczątkowaniem kolei łomżyńsko-warszawskiej, gdyż na dystansach Warszawa-Radzymin już prawie zbudowaną jest kolej nowego Tow. akcyjnego kolei markowskiej; dystans z Radzymina do Wyszakowa również zużytkuje to T-stwo, pozostaną tedy w środku dwa dystanse: Wyszaków-Ostrów i Ostrów-Śniadów.

Niewątpliwie spółka łomżyńska przedłuży swoją kolejkę do Ostrowia, niemającego bezpośredniej komunikacji z Łomżą pomimo bliskiej odległości, na ostatnim więc środkowym dystansie Wyszaków-Ostrów musi zbudować kolejkę jedno z tych przedsięwzięć, gdyż wówczas wytworzy się racjonalna linia o zapewnionym ruchu osobowym z Warszawy na Radzymin-Wyszaków-Ostrów-Śniadów do Łomży, które to pośrednie stacje i Łomża mają boczną komunikację, nie łączą się między sobą, ani też z Warszawą.



Wiele osób z pewnością pamięta zlikwidowaną w 1974 r. ciuchcią łączącą Radzymin z Warszawą. Po lewej stronie widoczna jest kamienica przy ul. Radzywińskiej 128 na warszawskim Targówku. Ciuchcia miała tę wielką zaletę, że średnio sprawny fizycznie podróżny mógł do niej wskoczyć i z niej wyskoczyć w dowolnym momencie. Fotografiię wykonano w latach 60. ubiegłego wieku.

Źródło: Zbyszko Siemaszko, Public domain, via Wikimedia Commons.

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW.

(Dalszy ciąg).

Czytałem ostatnio o nędznym oświetleniu mieszkań wieśniaczych, w których tleją zaledwie niewielkie kaganki w wieczory zimowe. Ciemność ta w chatach najwyraźniej stwierdza próżnowanie ich mieszkańców, którzy nie tylko paru rubli, ale nawet i paru groszy nie wydadzą więcej na jaśniejsze oświetlenie swych mieszkań, uważając je za zupełnie zbyteczne, dopóki go nie będą potrzebowali do pracy. Tu nawiasem dodam pod adresem Towarzystw higienicznych, że prócz światła, w chatach wieśniaczych należałoby zaprowadzić trochę więcej i... świeżego powietrza, jakiego obecnie zupełnie w nich nie ma, gdyż chłopci wprost nie mają w zwyczaju otwierania okien przez cały rok okrągły, a o lufcikach w oknach i pojęcia nawet nie mają. Jeśli więc uprzytomnimy sobie chowanie kur, kaczek pod łózkami, przygotowanie pożywienia dla inwentarza i trzody a nawet dość częste żywienie cieląt i prosiąt w izbach, wreszcie całe gromady kartofli i obierek pod ścianami i stałe, ciągłe ich obieranie, to będziemy mieli jakie takie pojęcie o czystości powietrza w mieszkaniach wieśniaczych i o zgubnym wpływie tych urządzeń na organizm ich mieszkańców.

Widzieliśmy całą zależność moralności Kurpiów od ich dobrobytu. Chciwość, a nawet wprost sięganie po cudzą własność, stosunek ich do rodziców i małżonków, rodzeństwa i sąsiadów, wreszcie wychodźstwo i w ogóle rozpętanie najniższych instynktów natury ludzkiej w Kurpiach – wszystko to w zupełności zależy od stopnia dobrobytu, w jakim się oni znajdują. Nawet w zawieraniu małżeństw, dobrobyt przyczynia się do większej swobody wyboru małżonków, gdyż chciwiąc się w ogóle na największe posagi, przede wszystkim szukają, jednakże tyle pieniędzy, ile ich potrzebują na spłaty z osady. Rzadkie więc wprawdzie bezinteresowne małżeństwa zdarzają się wśród Kurpiów osiadłych na roli tylko między zamożniejszymi gospodarzami, których ojce zdążyli uciułać nieco grosza dla swych dzieci i te ostatnie nie potrzebują szukać na oślep posagów. Ważny ten czynnik swobodnego wyboru małżonków daje trwałą podstawę do przyszłego szczęścia pożycia małżonków, zgodnego ich dorabiania się, wreszcie uniknięcia bezdroży demoralizacji i zawodów, jakie niestety, nazbyt często spotykają Kurpiów w małżeństwie. „Bodaj były te dwa sta rubli lepiej w morzu utonęły i ja waszego miejsca nie zaznała” – biada zawiedziona Kurpianka, która niedawno dzięki amerykańskim pieniądзом, przysłanym jej przez braci jako spłatę z osady, dostała się w „miejsce” jakie przed ślubem za tak świetne uważała i ona sama i cała rodzina.

Znacznie lepiej wyszła na swej bezinteresowności inna dziewczyna, która mimo całych perswazji rodziny, zdobyła się na poślubienie ubogiego chłopca, który – „żeby to chociaż owe konisko, albo wozik jaki taki, ale i to nie, a drze się do dziedziczki” – jak jej różni swaki i sąsiedzi perswadowali. Tymczasem ów „nędzota” będąc pracowitym i oszczędnym, wkrótce doszedł i do „konika”, a nawet nie tylko do konika, kupił piękny grunt i dorabia się stopniowo coraz więcej i oporządza opuszczoną przedtem osadę.

Podniesienie więc dobrobytu na Puszczy jest jednym z najradykałniejszych środków umoralnienia Kurpiów. Jak widzieliśmy, ubóstwo swoje Kurpie zawdzięczają nie tyle złej

glebie, ile niskiemu poziomowi kultury rolnej na Puszczy. Kurpie dotychczas orzą sochami, sieją odwiecznym ziarnem i w ogóle nie mają najmniejszego pojęcia o najelementarniejszych zasadach uprawy i użyźniania roli. Niski poziom kultury rolnej, jest koniecznym następstwem braku większej własności ziemskiej na Puszczy, z której by promieniowała na okolicę wiedza rolnicza i najwymowniej stwierdzała pożyteczność i niezbędność ognisk tej kultury rolnej w naszym kraju i całą przedwczesność ich parcelacji. Z braku ich więc na Puszczy, rozwój kultury rolnej i podniesienie wiedzy rolniczej wśród Kurpiów można osiągnąć jedynie przez założenie wzorowego gospodarstwa włościańskiego, w którym by na miejscu Kurpie mieli żywy przykład, jak uprawiać i użyźniać rolę, widzieli doniosłe skutki postępów wiedzy i ulepszeń rolniczych, wreszcie zrozumieli korzyść z posiadania gruntu w jednej całości, zaprowadzenia płodozmianu na niej, otoczenia drzewami i żywopłotami itp. Gospodarstwo wzorowe pośredniczyłoby również w dostarczaniu Kurpiom sadzonek, nasion i narzędzi rolniczych i wśród nich je rozpowszechniało. A z jakąż skwapliwością wprost rzuciliby się Kurpie do podtrzymania przez wiedzę fachową zanikającego, a umiłowanego przez siebie pszczelnictwa i zagrożonego koszykarstwa.

Prócz wzorowego gospodarstwa włościańskiego, rozpowszechniać wiedzę rolniczą wśród Kurpiów, mogliby z wielkim powodzeniem miejscowi księża, którzy by i bez zaprowadzenia kosztowniejszych urządzeń z łatwością mogli być dla swych parafian wzorem gospodarowania, a przez pokazywanie Kurpiom na pniu zboża i zwracanie ich uwagi, jakie się rodzi przy odpowiedniej uprawie, bez wątpienia nie jednego z nich pobudziliby do naśladownictwa. Zajęcie to nie uwłacza godności kapłańskiej i nie przeszkadza w wykonywaniu obowiązków pasterskich. Wszak od wieków, a i dzisiaj jeszcze misjonarze jednocześnie są pionierami cywilizacji, zresztą księża i tak gospodarują na swoich sześciomorgowych gospodarstwach, idzie więc tylko o to, żeby gospodarowali dobrze i z zamiarem promieniowania wiedzą rolniczą na swoje parafie.

(C. d. n.)

Dominik Staszewski.

[„Zaranie”, nr 36 z 4 września 1913 r.]

CO SŁYCHAĆ W KRAJU? SPOD ANDRZEJEWA

Co roku o tym czasie biskupi objeżdżają swoje diecezje. Nasze strony w ziemi łomżyńskiej wizytował J. E. Biskup płocki, jako że należymy do diecezji płockiej. Wizyta odbyła się ze zwykłymi ceremoniami. Jedną tylko spostrzeegliśmy osobliwość. Oto pod te czasy biskupi w szczególny sposób pragną sobie ująć chłopa, bo nawet do chałup wstępują. Kiedy dawniej tylko karetą jechał i we dworze przystawał, to teraz tak bywa, że do dworu idzie, ale i do chłopa niektórego wstąpi. Tak było naprz. w Mianowie, a słyszę i w Wąsewie.

Miałem zdarzenie w tych dniach rozmawiać w pociągu z gospodarzem gdzieś aż spod Proszowic z ziemi kieleckiej. Opowiadał mi, że tamtejszy biskup, ks. Łosiński, największy

pogromca „Zarania”, piechotą chodzi po parafiach i bywa – po drodze zaczepi pracujących na polu i do kosy się bierze.

Nam się wydaje, że wszystko to ma swoją przyczynę, a głównie tę, żeby chłopą zjednać. Bo dawniej przecież nie tylko biskup, ale i ksiądz nie pospolitował się.

Jednak to nasze „Zaranie” ma duże znaczenie i robi swoje...

Jan Podbielski.

[„Kurjer Polski”, nr 200 z 22 lipca 1933 r.]

ANI DOKTÓR ANI KOBIETA ZUCHWAŁY OSZUST W SADOWNEM

Przed kilku dniami do wsi Sadowne przybyła dr Maria Dobek i rozpoczęła praktykę lekarską. Osada Sadowne gości sporo letników, a ponieważ lekarza na miejscu nie było, dr Dobek miała licznych pacjentów. Któregoś dnia lekarz-kobieta nagle wyjechała z Sadownego, nie uprzedzając o tem nikogo. Po kilku dniach okazało się, że dr Maria Dobek nie była w ogóle doktorem, był to oszust i to dodatku rodzaju męskiego.

Dalsze śledztwo ujawniło niezmiernie ciekawe szczegóły tej afery. Do policji nadeszło zawiadomienie, że prawdziwa dr Dobek z Warszawy została okradziona, przy czym zabrano jej wszystkie dokumenty osobiste wraz z dyplomem. Wówczas policja zwróciła uwagę na owego „lekarza” w Sadownem. Oszust musiał to widocznie zauważyć, skoro tak nagle ulotnił się.